Lwów, 12. Kwietnia. Nr 43. Rok 1855.

NOWINY

Wychodza we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobote*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr miesieczna **40** kr. m. k. W kraju z przesyłka pocztowa rocznie **8** Złr.—półrocznie **4** Złr.—kwartalnie **2** Złr. m. k. Rycíny mód kwartal. **1** Złr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmuja się za opłata od wiersza pismem petyt w Przedział, ce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za nastep. po $1\frac{1}{2}$ kr. i za dopłate 10 kr. stepl. za każdorazwe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

WIENIEC CIERNIOWY.

Rozdział II.

PAN SZAMBELAN.

(Ciąg dalszy.)

Zakonniki na te słowa wypatrzyli się na chłopca z uwagą, ojciec Cyryjak z obojętną dosyć ciekawością, ojciec zaś Dominik z rodzajem przestrachu.

— Ja nie widzę żadnego podobieństwa! ozwał się ostatni szybko i żywo.

— Ja nie bardzo widzę! dodał przełożony.

— Jakkolwiek światły sąd acanów dobrodziejów jest dla mnie wielce szanowny, muszę tym razem sprzeciwić się im, i powiedzieć że widzę oczywiste podobieństwo.... Uważam tedy to za widoczną skazówkę losu, przepraszam acanów dobrodziejów; raczej, by przemówić językiem mniej świeckim, za palec opatrzności, który mnie ustalą w chęci dawno już acanom dobrodziejom oświadczonej, tego małego Witołda, wziąść na wychowanie do siebie. Dotąd ojciec Dominik nie raczył przystać na to, chociaż mniemam żeby chłopiec na tem nie stracił. Nieprawdaż ojcze gwardyjanie?

Wprost zagadniony, jakkolwiek nie lubił zdania swego wynurzać jasno i wyraźnie, musiał przecie odpowiedzieć tym razem.

— Zapewne! ja mniemam, ja myślę, że jaśnie wielmożnego szambelana propozycyja, która tyle zewszechmiar jest zaszczytna... jakkolwiek... a więc zawsze zdaniem mojem, należałoby...

Reszty dokończył westchnieniem i potężnym niuchem tabaki.

— I po tej drodze tylko, może kiedyś odkryć się tajemnica jego pochodzenia! dodał szambelan, otrząsając z tabaki krochmalne żaboty swoje.

— W boskiej to jest woli! przemówił ojciec Dominik z powagą i stałością. Taka to już musiała być święta jego wola, kiedy mnie go powierzył...

— Właściwie przypadek tak zrządził jeżeli się nie mylę... chociaż po prawdzie i dobrze nie pamiętam jak to było, i nigdy dobrze tego zrozumieć nie mógłem. Jakże to było właściwie?

Na to zapytanie ksiądz Dominik spuścił oczy, i po chwili dopiero wyrzekł:

— Zdarzenie to w czasie opowiedziałem przewielebnemu ojcu Anastazemu który wówczas był gwardyjanem.

— I on to zostawił na piśmie! dodał ksiądz Cyryjak, widząc szambelana oczy na siebie zwrócone. Ojciec Dominik między Warszawą i Litwą w pustej wiosce spalonej przez wojsko znalazł to piękne dziecko na pół nieżywe.

— Szczególne zdarzenie na honor! ale znowu tedy wracam za pozwoleniem acanów dobrodziejów do propozycyi mojej, której ojciec Dominik nie odmówi przecie przez wzgląd na korzyść biednego sieroty. Bo jużci ja co mam tę własność, że się przywiązuję namiętnie, będę o nim pamiętał jak o własnym dziecku... Cóż acan dobrodziej na to......

— Miałem już zaszczyt wynurzyć jw. szambelanowi moje w tej mierze uczucia. Ja stary nie długo pożyję, a jeżeli jeszcze utrzyma mnie Bóg przy życiu, chciałbym ten obowiązek wzięty na siebie wypełnić święcie... po śmierci mojej... to co innego...

— Ojcze drogi! zawołał chłopak z zapałem, i dwie łzy grube potoczyły się po jego pięknej twarzy. I przyskoczył do staruszka i młodą swą twarzyczkę przytulił do sędziwej starego karmelity twarzy.

— Śliczna! cudowna grupa!... Jak mnie to zachwyca! bo to rzecz nadzwyczajna, jak mnie każda rzecz piękna wprowadza w zapał.... zawołał szambelan, który w rzeczy samej użył słów przesadnych, ale był na prawdę wzruszony.

Od niejakiego czasu przygotowywał się widocznie ksiądz gwardyjan do jakiejś ważnej decyzyi, można to było przynajmniej miarkować po powtorzonych krząkaniach, po niezmiernym wydatku tabaczki, i zamaszystych ruchach chustki do nosa... Nareszcie powstał dla większej uroczystości, i wyrzekł:

— Jakkolwiek niezbadane są drogi opatrzności, dla nas śmiertelnych, i palec jego widocznie oddał to biedne opuszczone dziecko w ręce ojca Dominika, przecież my śmiertelni winniśmy także stosować się wedle rozsądku który jest także darem opatrzności. W tym razie, czyliż ojciec Dominik nie powinien by poświęcić swoje osobiste uczucia dla dobra tego opuszczonego chłopca, którego tak

zacny, tak szanowny i wspaniałomyślny pan, chce wziąć pod swoją opiękę. Jeżeli tedy zdanie moje może mieć jaką wągę, przychylam się do propozycyi jaśnie wielmożnego szambelana.

Ojciec Dominik w czasie tej przemowy stał ze spuszczoną głową, i była chwila w której dwie łzy starca połączyły się ze łzami młodego chłopaka.

— Wola mojego przełożonego będzie zawsze dla mnie rozkazem, wyrzekł głosem słabym...

— Ojcze ja niechcę! szeptał mu chłopiec do ucha.

Szambelan patrzał się na tę scenę obojętnie na pozór, lecz coraz się więcej kręcił, coraz częściej zaglądał do tabakierki, już nawet nie przypatrując się miniaturze co zwykle robił.

— Ja stary nie długo już tęsknić będę za tobą! przemówił do chłopca w pół głośno.

— Za pozwoleniem acanów dobrodziejów... jeszcze jedno słowo: mojem zdaniem, trzeba przecie zapytać i tego chłopca który ma pojęcie nad swój wiek, czyby przystał na zmianę opiekuna i miejsca pobytu. — Mów że Witoldzie, mów ale śmiało! dodał szambelan z uśmiechem tak poczciwym, że sam ten uśmiech zdołałby wynagrodzić wszystkie jego śmieszności.

Na te słowa Witołd przyskoczył do niego, porwał go za rękę, i pocałował ją z zapałem.

— Dziękuję panu! dziękuję z całego serca! pan jesteś szlachetny, i niechcesz nas rozdzielić! Cóżbyś pan pomyślał o mnie sam, gdybym ja tego porzucił, który mnie od śmierci wyratował, któremu mnie Bóg oddał w ręce, i który ojcem moim jest od lat tylu.

— Zapewne! zapewne! mruczał szambelan, i całą prawie twarz wpakował do tabakiery.

— Dziękuję panu raz jeszcze; mówił Witołd dalej z uczuciem starszem nad wiek. Pan byłeś zawsze dobry dla mnie; wszak jeżeli co umiem, to przecie z książek które mi pan szambelan łaskawie pożycza..... i..... ale się pan nie będzie gniewać!

— Nie, mów śmiało... już to moja taka natura szczególna; że się nie gniewam za śmiałość.

— Ja pana kocham.

— Poczciwy chłopiec! zawołał szambelan, i uścisnął go serdecznie. Zostań przy ojcu Dominiku, i kochaj go!

— Amen wyrzekł uroczyście ksiądz gwardyjan. Niech się dzieje wola boża!

— A przecież to podobieństwo! mruknął szambelan sam do siebie... coś w tem jest... Może to głos krwi dodał głośniej z wyrazem najpocieszniejszym, i zaczął się uśmiechać poprawiając koronkowe mankietki.

Ojciec Dominik gdy wrócił do samotnej celi swojej, upadł na kolana, i długo się modlił.

— Boże! dziękuję ci, żeś mi nie pozwolił tej odjąć pociechy, i przebacz, ach przebacz jeżeli źle zrozumiałem wolę twoją, jeżeli to dziecko pod cudzą nie chcę oddać opiekę. Przebacz ach przebacz jeżeli dla dobra jego taję prawdę! wyrzekł w końcu modlitwy ze skruchą.

Rozdział III.

SKROMNE I CICHE KOLEJE ŻYCIA.

Ostatnie słowa modlitwy ojca Dominika, stwierdzają to czego się już zapewne czytelnicy moi dawno domyślają, że ojciec Dominik jest owym pielgrzymem, który przed laty dziesięciu wracał do kraju, i którego opatrzność czyli jakby powiedział nasz szambelan, przeznaczenie zawiodło do jakiegoś domu ustronnego, by był świadkiem okropnej i tajemniczej zbrodni.

W rzeczy samej on to sam trafiony strzałem pistoletu w bok upadł; rana jego była bardzo lekka bo kula pistoletowa przemknęła tylko po wierzchu ciała, i jeżeli upadł, było to raczej skutkiem przerażenia jakiego doznał, i może zmęczenia po tak pospiesznej i długiej drodze. Wnet się też opamiętał, zerwał z miejsca i pobiegł do stajenki, do której ów mężzyzna dziecko zaniósł, i zkąd dochodził pielgrzyma krzyk dziecięcy coraz cichszy. Włosy stanęły zakonnikowi na głowie, na widok jaki mu się przedstawił. Stajenka była cała w ogniu; kawały palącej się strzechy, i w węgiel zarzący zmienione wiązanie dachu padło już do środka i nawet drzwi wchodowe zaczynały się palić; dziecka głos przytłumiony i jęczący stawał się coraz cichszy. Ratunek zdawał się być niepodobny. Lecz poczciwy zakonnik nie dał się zrazić niebezpieczeństwem; przekonany że go tam opatrzność naumyślnie zesłała, westchnąwszy kornie do Boga, rzucił się w tę prawdziwą otchłań, z której buchały ku niemu dym i płomienie.

Dziecko leżało w jednym kącie, rzucone na kupę gnoju, i to go wyratowało, bo jeżeli z jednej strony najwięcej pałające kawały słomy i drzewa padały w sam środek stajenki, z drugiej strony wilgoć gnoju niedozwalała mu się zająć. Kawał tylko drzewa cienkiego, na węgiel przepalogo z tlejącej może drabiny oderwane, upadło na główkę dziecięcia i sprawiło mu zapewne ból okropny. Najwiekszem wszakże niebezpieczeństwem dla dziecka był dym, który zaczynał już go dusić. Pielgrzym gdy wbiegł do stajenki nic zrazu widzieć nie mógł wśród dymu, który mu oczy wygryzał. Ciche i urwane stękanie zaprowadziło poczciwego pielgrzyma; skoro ujrzał dziecinę, odrzucił tlejące się na głowie jego drzewo, porwał w objęcie i wyniosł na świeże powietrze. (C. d. n.)

DOLA GRAJKA.

Sielanka.

Ubogi odzieżą, lecz myślą bogaty
Siadł grajek wioskowy, na przyzbie u chaty,

I wierną skrzypicę wziął w ręce.
A w głowie snadź ważna toczy się narada,
Coś brząka, coś mruczy — bo myśli układa
Strój nowy, do nowej piosenki.
I błądzi spójrzeniem ku niebu, ku ziemi,
Nad polem zielonem, nad strzechy wiejskiemi,
Kieruje ku lasom, ku rzeczce.
Wnuk przy nim chłopczyna, ciekawy a żywy,
Znalazłszy we drwalni dwa szczepy łuczywy
Grał niby na drugiej skrzypeczce.

Uśmiechnął się stary, podumał i milczy,
„Już tropisz do lasu, o synu ty wilczy,
„Poczekaj! nic z tego nie będzie.
„To brzydka zabawka! to gra nie dorzeczy,
„Rzuć chłopcze tę trzaskę, bo rękę skaleczy.
„Skrzypice zaklęte narzędzie!
„Gdy raz ci do duszy przyrosną jej tony
„Już będziesz zgubiony, na zawsze zgubiony,
»Młodości i sił twoich szkoda.
„Snu tobie nie będzie, tem gorzej im dalej,
„Gorączka pragnieniem twą duszę rozpali,
„A nikt ci napoju nie poda.

„Weź inną zabawkę — ja krzyżyk ci zrobię
„I będziesz po dworze przechadzać się sobie,
»Śpiewając oremus księdzowski.
„Jak kiedyś zostaniesz rozumny i duży,
„To może ci dola życzliwa posłuży
„Że będziesz plebanem twej wioski.

„Lub baw się w żołnierza — weź kij mój sękaty,
„I hasaj do koła stodoły i chaty;
„Jać szablę wystrugam z łuczywy.
„Jak pójdziesz do wojska, toć będzie do twarzy
„I mundur i kaszkiet od złota się żarzy,
»A rumak, kasztanek lub siwy.
„Szablica, ostroga błyszczące ze stali
„A wąsik runieje a oko się pali,
„Dziewczęta ci z całej lgną włości.
„W gospodzie, czy w domu, na każdej zabawie,
„Ty jeden rej wiedziesz i głośno i żwawo,
„A każdy ci z chłopców zazdrości.

„Cóż z liry? cóż z pieśni? ej! marnie zaginie
„Ubogi syn pieśni, w ubogiej wioszczynie,
»I marną umęczy się pracą.
„Tu rzadkie obsiewki; dożynki, wesele,
„Tu chleba niewiele i zabaw nie wiele,
„Nie wiele grajkowi zapłacą.“
— „Ej dziadku, mój dziadku,“ odpowie mu wnucze
„Ot ja cię dobrego sposobu nauczę:
„Rzuć wioskę gdzie żyją nędzarze,
„Weź skrzypkę i pytaj gdzie ludzie bogaci;
„Tam każdy posłucha i hojnie zapłaci
„I drogę do inszych pokaże.

„Ja kiedy wyrosnę, gdy skrzypkę mi kupią,
„Tak pójdę na świecie; to wcale nie głupio,
„Obaczysz jak mi się poszczęści.“ —
— „O dziecię — rzekł stary — nie bluźnij w ohydzie,
„Niech raczej z pieśniami zaniemieć mi przyjdzie
„Niż o drzwi bogaczów tłuc pięści.
„Gdy nędzarz w tej wiosce wyprawia biesiadę
„To serca grajkowi życzliwe i rade,
„Gospodarz najwyżej go mieści.
„I grajka obsiądą, słuchają z rozkoszą,
„I czarkę najpierwszą ku niemu przynoszą:
„Tu pieśnia w powadze i cześci.

„A w domu bogacza nie szukaj dusz bratnich:
„Ty będziesz tam gościem ostatnim z ostatnich,
„U progu ci chyba grać każą.
„Czy rzewne piosenki, czy święte graj hymny,
„Westchnienia nie zbudzisz, bo duch u nich zimny;
Z szyderczą słuchają cię twarzą.
„A kiedy na uczcie zapieni się wino,
„Sto razy pieśniarza służalcy pominą
„Nim puhar podadzą ci hardo.
„Gdy czasem bogacza napadnie szał pusty,
„On każe byś zagrał piosenkę rozpusty
„I rzuci garść złota z pogardą.

Tu starzec złagodniał i wnuka pogłaska:
„Tak chłopcze.... bądź grajkiem!.. o Boże! Twa łaska
„Niech zawżdy na pomoc mu przyjdzie.
„Nim kiedyś mą skrzypkę powierzę w twe ręce,
„Naprzód ją przeżegnam, w kościele poświęcę,
„Byś pieśni nie podał k' ohydzie.
„Choć czasem chleb suchy pożywać się zdarzy,
„Bądź grajkiem poczciwych wioskowych nędzarzy,
„Jak ja sam przebyłem lat tyle.“
Chłopczyna wysłuchał, co stary dziad gdera,
Podumał, zapłakał i oczki ociera,
I pobiegł — uganiać motyle.

W. Syrokomla.

Najnowsze dzieła

Rotmistrz bez roty

powieść w 3 tomach Alexandra Niewiarowskiego

Nowa to powieść, i nowy powieściarski zawód poczynający pisarz: szkoda tylko że nie wiele da się pochlebnego powiedzieć o tym literackim nabytku. Rozumiemy to wprawdzie, że poczynającym pisarzom należy się pobłażać,

które wszakże z drugiej strony nie powinno przekraczać granic obowiązku krytyki. Przy całej ogłędności zdaniem naszem prawdę tem więcej wyrzec należy, że jak to wiemy z niejednego już doświadczenia, krytyka chociażby surowa, nie zabiła jeszcze żadnego prawdziwego talentu, któremu przeciwnie stawała się bodzcem zwykle; jeżeli zaś mierne lub nijakie talenta znikły przed jasną prawdą rozbioru krytycznego, nie wielka to dla naszego piśmiennictwa szkoda.

Powieść ta nowa o której mówiemy, jest to zbieraniną zdarzeń jakim takim węzłem połączonych, w której głównie przebija się wczytanie autora w powieści francuskie i widoczna chęć naśladowania tychże; i to do tego stopnia, że parę scen pominąwszy, nazwiska tylko osób działająch i zyk są polskie; treść zaś cała, zdarzenia pozbijane do kupy, charakterystyka, a nawet ton opowiadania i konwersasacyi są ściśle francuskie. Czytając tę powieść mimowolnie przychodzi na myśl, że się czyta tłumaczenie z francuskiego. Naśladowanie samo przez się jest już błędem w każdem dziele piśmienniczem, i słabe daje wyobrażenie o zdolnościach pisarza; o ileż błąd ten jest gorszym, jeżeli pisarz naśladuje słabsze wzory.

Ten przypadek zdybujemy w powieści pana Niewiarowskiego: Rotmistrz bez roty; przypomira ową już chwała bogu przebrzmiałą we Francyi nawet szkołę, w której sadzono się na to, aby zbierać zdarzenia przerażające okropnością swoją, opowiadania naszpikować oburzającemi występkami, i z powieści nareszcie zrobić rodzaj dziennika sądu kryminalnego. Powieść taka może się jeuo utrzymać mistrzowską charakterystyką osób działających, w jakiej celowali wodzowie tej szkoły, ludzie pełni niezaprzeczonego talentu. Lecz za Wiktorem Hugo, za Balzakiem za Dumasem, pociągnęło to wszędzie jednak nowe *servum imitatorum pecus*, i artystyczność tamtych w układzie scen najwięcej przerażających, zastąpili potwornością swych chorowitych konceptów. Owoż w powieści pana Niewiarowskiego wyczytujemy na nieszczęście ten sam popęd do nadzwyczajności i okropności w położeniach i w intrydze, które nie wypływają z pewnej konieczności artystycznie przeprowadzonej, lub też z wyjątkowych charakterów tak silnie adszkicowanych że się im chętnie nieprawdopodobieństwo przebacza. Gdzie tam!.... one wypływają po prostu z woli autora, który je wymyślił, ułożył w pewną mozajkę powieściową, i do nich nawet nagina charaktery swoich bohaterów, opierające się najoczywiściej tym okropnościom, i obyczajem własnym i obyczajem kraju w jakim mieszkają, i wychowaniem i położeniem społecznem jakie sam autor im nadaje.

Przejdźmy treść po krótce by wyświecić prawdę zdania naszego.

Hrabia Hektor i hrabina Izaura, żona jego, mieszkają na wsi w majątku swoim, i po zakroju ich charakterów, jak je nam w pierwszych rozdziałach przedstawia autor, nikt się nie domyśli, jak czarnych zbrodni kryje się tam w ich pożyciu zarodek. Hrabina Izaura jest sobie kokietką trochę; lecz któraż kobieta nie jest nią choć w części?. Hrabia Hektor zdaje się być marzycielem, lubiącym samotność, i mającym może coś na sumieniu z przeszłości, a w pamięci, i myśli jakaś bojaźń przyszłości. Ale z tem wszystkiem wydaje się być wcale niezłym człowiekiem, kiedy może być jego przyjacielem pan Stanistaw Naczelski, ów rotmistrz bez roty, wielce godny i prawy człowiek, chociaż na gwałt przez autora obdarzony niejaką excentrycznością, która nie motywowana przez autora, wygląda jakby jaka narość francuzka na polskim szlachcicu. Pojawia się tam z początku i pan baron Alfred Wirowski, żywcem wyjęty z powieści francuskiej, chorobliwy rodzaj pół dandysa pół zalotnika; czasem miękki jak bawełna, czasem twardy jak stal, a jedno i drugie bóg wie z czego i dla czego. Pomału tedy wysnuwa się dramat. Hrabia Hektor straciwszy własny majątek, bojąc się nędzy, zfałszował za młodu na wexlu podpis wuja bogatego, księcia S. Awanturka ta jakby z kolumn paryskiej gazety sądowej wyszła.

Za granicą, w górach saskiej Szwajcaryi, poznaje pannę Izaurę, bogatą bardzo dziedziczkę, nader romantycznie, bo z wężami walczy, i zakochawszy się oświadcza. Nie dostaje od razu stanowczej odpowiedzi, bo panna nie zdaje się być za nim. Pojawia się tymczasem baron Alfred, kuzyn Izaury, który jest w ciągłej podróży między Polską a Londynem. Kuzynek kocha kuzynkę, jest wzajem kochany, jednakże odstępuje jej ręki, dla tego, że jak się później odkrywa, wlazł w jakiś romans angielski z którego nie mógł wyleźć inaczej, jeno za pomocą ślubu. Widzi się wszakże z Hektorem i oświadcza mu, że owe wexle fałszywe w jego są ręku. Dosyć na tem, że Hektor żeni się z Izaurą, a hrabia Alfred z fałszywemi wexlami jest dla niego orężem Damoklesa, do czego przykłada się i to smutne przekonanie, że Izaura go nie kocha, a smutniejsze jeszcze domiemywanie, że jest zawsze w miłośnych stosunkach z kuzynkiem i że mały Hektorek nawet nie Hektora ale barona jest synem. Czułe bardzo położenie, i założenie intrygi niepospolite! Hektor tedy bierze się do gospodarstwa w dobrach żony swojej, których intratę podnosi, aby mógł powykupywać owe wexle. Przyjeżdża do nich pan Alfred. Następuje scena patetyczna między nim a Hektorem, ktorego przygniata on przewagą swojego położenia. Rozmowę tę podsłuchując Izaura, i litością czy Bóg wie czem wiedziona, przestaje kochać Alfreda, a zaczyna kochać męża, który się tego ani domyśla. W nocy pani Izaura zaprasza Alfreda do siebie, daje mu herbatę z jakiemś zasypiającem lekarstwem, wykrada mu wexle mężowskie, odsyła je mężowi i sama wyjeżdża, ofiarując mężowi szkatułkę z pieniędzmi na zapłacenie wykradzionych wexlów. Mąż niby się upiera, ale za naradą rotmistrza bez roty przystaje, i rad że już jest uwolniony,

przy pożegnaniu tryumfuje oad baronem, który mu za to ostatnię wypuszcza strzałę zatrutą — dając mu do zrozumienia, że Hektorek jego synem. Chce tem niby wzbudzić nienawiść ojca do własnego syna. a może go nawet do zbrodni jakiej przyprowadzić, bo jak się to póżniej mamy dowiedzieć, Izanra jest czysta jak pączek wiosenny, a Hektorek jest najrzeczywiścicj synem Hektora. Dla czego mimo to Izaura przez całe trzy tomy ciągłych doznaje wyrzutów sumienia, trudno odgadnąć, chyba dla tego, żeby dopiero na końcu wyjechała na wierzch jej niewinność.

(D. n.)

Teatr Krakowski.

Repertuar teatralny, dzieła sceniczne rękopismienne i drukowane.

(Patrz Nr. 155 i 156. Nowin 1854 r.)

(Dokończenie)

W roku 1847 *Dawidowski* wydaje bezimiennie dramat Abenhamet, *Skarbek* dwa wielkie tomy komedyi oryginalnych, a *Wolski Władysław* sztukę: Halszka, w 2. a. Ostatnia będąc operą, nie przydałaby się dla sceny naszej; tak samo, jak w rękopiśmie będące opery jedna utworu *Gustawa Hrabi Olizara*, druga (Flibustierowie) pióra *Ludwika Paprockiego.* Ale dziwno mi dla czego komedye *Fryderyka Skarbka* nie ukazują się w repertuarzu sceny naszej. Napisał on ich 21. wydając je w latach 1829. 1833. 1834. pojedyńczo, a w r. 1847. w całym zbiorze; z tych ledwie sześć zna scena nasza, a inne ani razu nie wywiedziono na widownią, jakoto: Po pijanemu, Sumienie dramat, Laura dramat, Pan Kwiryn kom., Ludzie nieczuli dram., a między temi najcelniejsze komedye trzech aktowe: Roztrzepany, Zosia Przybylanka, Ostatnia z czasów Stan. Augusta, tudzież komedye rękopiśmienne: Pan domu, Przez sen, Na jawie, Kobieta w XX wieku, Na saskiej kępie; Co głowa to rozum- i t. d. i t. d.

W roku 1846. wyszłe dramata: Noc obr. w 3. a. przez *Białopiotrowicza Antoniego* w Warszawie, Władysław tragedya przez *Kazimierza Józefa Turowskiego* we Lwowie, Wastał dramat przez *W. Dłużniewskiego* w Warszawie; tragedya Zawida wydana w Poznaniu przez *Antoniego Krzyżanowskiego z Murzynowa* autora tragedyi wydanej w Lipsku r, 1841. p. t. Dagestan i *Miłkowskiego Juliana*: komedya Rocznica, nie zalecają się układem swoim, stylem lub czembądźkolwiek wyższem nad pospolitość, dla tego w repertoarzu sceny znajdowaćby się nie mogły.

W r. 1845. wydał *Skimborowicz Hipolit*, dramat. Konaszewicz w Białogrodzie, *Julia Goczałkowska* dramat: Kwestarz w 3. aktach, i *Wilkoński August* komedyą w 2. a. Emancypacya Sabiny. Ostatnia i to raz tylko była w tymże r. 1845. w Krakowie przedstawioną.

Orszak to wprawdzie nie liczny piszących, ale znów nie tak szczupły i ubogi, aby nie mógł zwrócić na siebie uwagi Dyrektorów scen, którzy powinni przyswajać scenie chociażby niektóre dzieła z tego dziesięciolecia minionego, zamiast kalania jej jasełkowami automatami zagranicznego wymysłu. — Znalazły by się pomiędzy niemi sztuki zyskowne pod względem materyalnym, gdy o to w wystawianiu sztuk głównie i wyłącznie chodzi, potrzeba jeno szukać a pukać, głosić nagrody, i różnemi sposoby zachęty i zainteresowania zdolne powieściarskie pióra pozyskiwać dla sceny. Niechby przynajmniej scena chciała być tem dla piszących, czem feuileton gazet dla powieściarzy, a znalazły by się i nowe prace i nowe życie na tej niwie.

Od roku 1840. do r. 1844. ogłaszali próbki i próby dramatyczne, pojedyńczemi, samopas puszczanemi pracami, następni poeci: 1) *Frankowski Karol* (*Niepowie Kajetan.*) Gra namiętności dramat: 2) *Edward Galli*: Torquato Tasso dram. 3) *Siemieński Lucyan*; Switezianka fant. dramat. 4) *Dąbrowski Jan N.* Wróżka kom. 5) *Rutkowski S. A.*: Ernest dram: kobieta koa. 6) *Horodzieński Alex.* Słowo honoru kom: 7) *Wisłowski Waldemar*: Zabójowa mogiła dra. 8) *Wagner Ign: Bohdan* Modnisie kom. 9) *Zalewski Hilary Leonowicz*: Mieczysław, trag. 10) *Kozłowski:* Notatki mojego męża, kom. 11) *Jankowski Placyd* (*Dycalp.*) Przeczucie wesołka. 12 *Łopaciński Józef*: Macocha, dram. 13) *Przezdziecki Alexander.*: Halszka dr. Kapitalik dr. Jadwiga dr. 14) *Tyszyński Alex.* Próba, dram. 15) *Kucz Karol*: Przebiegły kuzynek K. Zapomnienie chwilowe K. i dramy w rękopiśmie: Nowa miłość, Marynarz. 16) *Korsak Julian*: Twardowski, dram. 17) *Wojcicki Wł. Kazim.* Dyalogi trzy. 18) *Dahlmann Piotr*: Maryna Mniszchówna, trag. 19) *Karol Hincz*, komedye trzy: Powrót Zaporożców, Figle Ułanów, Młodzież tegoczesna. 20) *Breza Eugeniusz* (*Dziubińska.*) Bazar. 21) *Perthées Ludwik*: Achmet dr. 22) *Conti* Baron: Emilia dr. 23) *Kraszewski Józ. Ign.* dramata: Tenczyńscy, Halszka, Jan z Nepomuk, Szatan i Kobieta, nadto dwa dyalogi.

Połowa jednak niemal z tych sztuk, tak podobnie jak w dramatyczną szatę przyobleczone pisma autora *Irydiona*, *Juliusza Słowackiego*, *Żeligowskiego Edwarda* (*Ant. Sowy*) *Rakowieckiego Gracjana*, *Janiszewskiego Leona*, *Rzewuskiego Henryka:* (Oryginały.) *Komierowskiego Józefa*, *Bredkrajcza*, *Norberta*, *Libery Anny* (Żęboczyńska:) *Łuszczlewskiej Jadwigi*, *Zmorskiego Romana*, miały na celu bądź satyrę, bądź ideję wyższą narodową, bądź oderwaną myśl filozoficzną, i nie krępowały polotu ducha swego formą dramatu scenicznego, dla tego mogąc się liczyć pomiędzy satyry, misterya, poemata i fantazye, nie przyniosły pożytku dla sceny, i dla tejże przyspasabianemi być by nie mogły.

Pomijam milczeniem kilka prac rękopismieunych z tego pięciolecia, jako pomniejszych, a które pisali *Oskar Milewski*, *Chojecki Edmund*, *Skarzyński M. Pacewicz*, *Brykalski Józef*, pomijam także bezimiennie wydawane sztuki jak np. Cycylia przez D. T. 1842 r. Mąż i żona 1840 Poznań komedya, — Wacław dram., Jadwiga dram., Żona

Kresencyusza dram., Barbara dram., Rozamunda dramat, wszystkie roku 1845, nadto: Bias czyli zły duch. dramat 1847. Wilno. — Złamana Topola kom. p. A. B, Kijow 1848. Jeremi Wiśniowiecki 1852. Lipsk. z których ledwie dwie lub trzy upostaciować by się mogły na widowni i to jeszcze z pewnemi zmianami, przez wzgląd na czas, miejsce i okoliczności. —

Oprócz całkowitych utworów dramatycznych bądź scenicznych bądź niescenicznych, natrafiamy po pojedyńczych zbiorach, czasopismach, i poezyach, na fragmenta szersze lub szczuplejsze z zaczętych dramatów a niedokończonych, lub ukrytych może dotąd w rękopismie, lub też takich, o których kończeniu całkowitem poeta może wcale nie zamyśla i nie myślał już wówczas, kiedy ten fragment nakreślał. I tak znajdujemy urywki z tych dzieł: 1) *Skotnickiego Marc. Bogoryi*: Zakład. komedya (w Pamię. Sceny War. 1840.) 2) *Czajkowskiego Antoniego*, Fragment z dramatů (w niektórych poezyach. 1841.) 3) *Pola Wincentego*, Pan Miecznik (prześlicznych scen kilka z tej komedyi w Żywie 1841.) 4) *Zielińskiego Gustawa,* wyjątki z dramatu Zbigniew. (w Bibl. War. 1844.) 5) *Dębowskiego Edwarda* z dramatu Twardowski. (w Tyg. liter. 1843.) 6) *Paszkowskiego J.* z dramatu: Bohdan (w Bibl. War. 1844.) 7) *Berwińskiego Ryszarda Wac.* Scena w Warszawie (1845.) Poezye i dramat w rękopismie o czem Tygodnik literac. 1840. Nr. 49. — 8) *Ujejskiego Kornela* fragment z dramatu Samson. (w Melodyach bliblijnych 1852.) 9) *Łuszczewskiej Jadwigi (Deotyma.)* ustęp, z dramatu: Stanisław Lubomirski. (w Gazecie Codziennej i w Nowinach 1854.) 10) *S. J. K:* wyjątki z dramatów: Ukrainka, Zemsta Majnottów. (w Nowinach. 1854)

Jednem słowem w tem ostatniem 15leciu, to jest, po zupełnem zamilknięciu Fredry, odsłania się nam szereg półtorasta pisarzy, pożyczających formy dramatycznej do ucieleśnienia myśli swojej, a z tej liczby ledwie dwie trzecie piszących pamiętają o akcyi scenicznej. Lubo zaś z pomiędzy nich niewielka cząstka wybranych zasługuje, aby scena o ich pracach pamiętała; to wszakże kierownicy sceny nie pamiętają i o dziełach godnych pamięci, dla tego wszystkie niemal zapartą mają drogę do repertoarów, zapoznane, nieocenione i nie czytane przez tych, których obowiązkiem jest zgłębiać literaturę dramatyczną narodową, i pisarzy dramatów otaczać czcią odpowiednią do zasług, jakie sobie wywalczyli dla dobra sceny.

Kończąc ten artykuł nie mogę pominąć wzmianki o żwawej sprzeczce, dopiero co zakończonej między Gazetą Warszawską a Dziennikiem Warszawskim, urosłej z okazyi dramatu w Polsce. — *Szymanowski Wacław* rozpowiadając w N. 317. Dzienn. Warsz. 1854. o nowych widokach otwierających się dla wzrostu dramaturgii polskiej, wyraził się, iż dramat polski wydobywa się z pieluch i że nie mamy komedyi salonowej. — Gazeta Warszawska radą ze sposobności zaczepki, odpowiada w Nr. 332 r. z., wykazując pracami Fredry i Korzeniowskiego, że mamy komedyą salonową i że literatura dramatyczna polska stoi na wysokim stopniu rozwinięcia swojego. — Na to Szymanowski odpowiedział całą rozprawą o literaturze dramatycznej polskiej, kończąc ją w Nr. 50. 51. 52. Dzienn. Warszaw. 1855, wykazał bardzo zręcznie wszystkie zalety naszych ulubionych dramatyków, a zarazem ubóstwo literatury naszej dramatycznej w ogóle. Szymanowski miał słuszność i łatwo mu było dowieść założenia swego, szkoda tylko, że ani jedna strona ani druga nie znają dobrze historyi tworzenia się dzisiejszej dramaturgii polskiej i dla tego, gdy im przychodzi mówić o innych pisarzach a nie o Bogusławskich, Fredrze i Korzeniowskim, wtedy osłaniają się ogólnikami, idą omackiem i co kroku piszą sobie sami świadectwo nieświadomości tego, o czem rozprawiają. Między kilku błędami Szymanowskiego dostrzegłem, iż mówiąc szeroce o *Majeranowskim*, nie musiał nawet czytać prac jego, jak skoro nazywa go wielokrotnie i wszędzie Mejranowskim. — Spór też ten nie rzucił żadnego światła na nowe prace i nowych pisarzy, o których w naszym artykule dla szczupłości miejsca tylko pobieżnie byliśmy przymuszeni napomknąć. —

Teatr lwowski.

Nowy rok teatralny zaczęła dyrekya sceny polskiej od **Krakowiaków i Górali, wznowionej** (jak się afisz wyraża) opery **Bogusławskiego** Nie możemy tu ominąc tej uwagi, że przymiotnika **wznowiony, wznowiona** dodanego do dramatu lub komedyi, á który przez rok miniony tak często zdybywaliśmy na afiszu, nierozumiemy zupełnie. Niepojmujemy naprzykład, jak można wznowić **Krakowiaków i Górali**, dzieło Bogusławskiego które wznowienia niepotrzebuje, bo się dla serc naszych niezestarzało, i tkwi w pamięci naszej z całą pięknością swoją i z całem ukończeniem danych przedstawień tej opery na scenie lwowskiej. Jeżeli to ostatnie przedstawienie opery Bogusławskiego było wznowieniem, brońże nas Boże od takich wznowień. O tem przedstawieniu, jakiem nas tym razem uraczyła dyrekcja, możnaby powiedzieć to co powiedział Boileau gdy mu Ludwik XIV przeczytał wiersze swoje i pytał go o zdanie, ale szczere.« Najjaśniejszy panie, odrzekł krytyk, podobało się Waszej królewskiej Mości napisać liche wiersze, i udało się to.» Otóż i dyrekcyi naszej udało się przedstawienie krakowiaków takie, o jakiem, by z niem na teatrze stołecznym, przed publicznością wystąpić można było, żadnego niemieliśmy wyobrażenia. Jak w dzisiejszym składzie, do jakiego dyrekcya naszą scenę zredukowała, słabo obsadzona jest ta scena, najjaśniej okazało się na tem przedstawieniu, na którem, prócz sukman, podkoweczek i pasków nie było ani krakowiaków ani też nie było opery, bo nie było s p i e w u. Smutek brał patrzyć na tych pięciu krakowiaków, występujących naprzeciw ośmiu górali, a z których tak po jednej jak po drugiej stronie ledwie trzech stanowiło chóry. Od chórów też takich, w ogóle od takiego spiewu jaki słyszeliśmy, zachowaj nas panie! Jeszcze chór górali szedł jako tako. Panowie M i k u l s k i i H e n i g robili co mogli by mu nadać charakter i jedność chóru. Ale u krakowiaków i krakowianek, pożal się boże, działo się jak to dawniej u mieszczan naszych gdy w paradzie wystąpiwszy strzelali całemi rotami, ale zawsze miasto pelotonowego dawali ogień flankierski. Tak też się działo z

chórem krakowskim; darmo dyrygujący p. Szlagurski walił laseczką, podnosił się z miejsca, i ledwie ze skóry nie wyskoczył, nigdy przecie ani razem nie zaczęli, ani razem nie skończyli. O szczególnych spiewkach trudno także co powiedzieć, bo właściwie spiew bez głosu obejśćsię niemoże, myśmy zaś widzieli krzyżowanie się p. Eker (Janka, którego Nowakowski dawniej tak dzielnie odgrywał) widzieliśmy ciche usiłowania panny Chełchowskiej (Basi, odgrywanej dawniej przez s. p. Kamińskę) ale głosu w spiewie nie słyszeliśmy. Toż samo i p. Lauvernej, który najlepszym jeszcze był krakowiakiem, robił co mógł, aby spiewać niby, ależ trudna to rada naśladować głos, którego się niema. W chórach mianowicie dawał się czuć brak p Natorskiego, który miał przecie głos, i mógł i umiał spiewać. P. Kaliciński odegrał studenta wcale nie źle, ze swobodą w ruchach, i z dosyć dobrze schwytanym humorem w dyjalogach, co do spiewu zaś był niestety! na równi z całem wykonaniem spiewnem. Lecz wszystko to nic jeszcze, naprzeciw organisty. Każdy z nas pamięta w tej roli Rudkiewicza który z Miechodmucha utworzył rolę typową prawdziwie, i każdy wie, że organista jest w krakowiakach, ustępem najwięcej bawiącym, najwięcej do śmiechu pobudzającym. Pan Linkowski chcąc nas rozsmieszyć, zrobił z siebie istną karykaturę, budzącą litość raczej niżeli śmiech. Nizki wzrostem gdy przyczepił sobie brzuch ogromny, wyglądał nieznośnie. I gra też jego była karykaturą niesmaczną zupełnie. Cała smieszność miała na tem niby spoczywać, że od czasu do czasu głos swój monotonny urozmaicał jakiemś cienkim wybrykiem, przypominającym bardzo pianie koguta. Nie rozśmieszył też nikogo, a przecież pamiętamy jaki to homeryczny śmiech porywał publiczność, skoro się tylko pojawił Rudkiewicz, jakiemi go przyjmowano i nagradzano oklaskami. Tym razem publiczność była zimna, kilka oklasków danych p. p. Smochowskiemu i Kalicińskiemu, kilka przelotnych śmiechów, słowami autora wzbudzonych, i na tem koniec. Smutny to był w ogóle dla człowieka myślącego wieczór. Na scenie taki okropny brak, tyle miejsc osieroconych po tych twarzach, które ku nam tak sympatycznie ze sceny patrzały; aż za serce ściskała ta myśl, że przez jeden rok jakby burzą rozpędzeni, poniknęli nasi dawni ulubieni artyści. I dla czego? A w teatrze pustki takie, jakby wymiótł. Większa część lóż była próżna, na miejscach zamkniętych dziesięciu niesiedziało ludzi; jeden tylko parter i galerja co były dosyć napełnione. Poczciwa publiczność nasza niemoże się jeszcze odstręczyć zupełnie, od tego co było dla niej rozkoszą i chlubą przez lat tyle. Lecz coraz zaczyna być puściej coraz smutniej w teatrze polskim. I słusznie: za zrobienie pustek na scenie, — pustki w teatrze.

Rozmaitość.

Z Krakowa. Z dniem 29. Marca artyści polskiego teatru zamknęli szereg widowisk swoich których w tym roku bieżącym dali 31. — Na zakończenie odegrali nowe komedye: Wojna z kobietą przez *Korzeniowskiego*, Flisacy przez *Anczyca Wład.* — i powtórzono raz drugi: Przyjaciółki przez *Korzeniowskiego. Flisacy*, zgrabny obrazek jedno-aktowy, autora Chłopów arystokratów, obudził entuzyastyczne oklaski i wywołania autora; przypisać to należy okolicznościowej treści wesołki, mieszczącej aluzją do peryodycznej tułaczki sceny krakowskiej na lato i wiosnę, tudzież dowcipnym śpiewom i scenom, szczególniej przy przeciwstawieniu typów żyda cywilizowanego niby eleganckiego handlarza zboża, ze żydem nieucywilizowanym wekslarzem, którzy obadwaj na różny sposób wysysają grosz ostatni z rodziny flisackiej. Postacie te, jak i miejscowa znajoma wszystkim postać komornika, stworzyły powodzenie dowcipnej, na prędce zaimprowizowanej wesołki. Autor *Chłopów arystokratów* obdarzył nas w tem ćwierćroczu, dwiema sztukami, z których Łobzowianie mają więcej wartości i więcej zajęcia obudzają. W tej to odzwierciedlił on z całą prawdą figurę czysto miejscową pisarza pokątnego. Autor opracowując w utworach swoich dowcipnie stosunki niższej warstwy społeczeństwa tutejszego, umie przypodobać się tem samem publice i obudzać wesołość nawet na najpoważniejszy ton nastrojonych słuchaczy. — Dopowiedzenie zakończenia *Flisaków* i żegnające spiewy, spowodowały uniwersalny pochód chustek do oczu płci pięknej dla zakrycia wydzierających się łez. Rozczulające to pożegnanie, zakończone obsypaniem artystów bukietami, było oznaką żalu po chwilowej utracie sceny, ale nie znamieniem zadowolnienia z całego kompletu artystów, których grono bardzo niewystarczające, nie było zdolne de odegrania sztuk ważniejszych. *Królikowski, Kotowska*, a w części i *Radzyńska*, wreszcie rzadko występujący *Pfeifer*, odpowiadali jedynie zadaniu swojemu, jakie wkłada na nich tytuł artysty; reszta aktorów pracowała na miano komedyantów.

Z pierwszym kwietnia wyjechali artyści do Poznania na półtora miesiąca, poczem myślą odwiedzić Gniezno, Dębno i inne okoliczne miejsca, poczem może zawitają i do Wiednia, bo od tego projektu nie odstąpiono dotąd. Personale zostaje od Wielkiej nocy powiększone *Szturmem* i *Szynglarską*, obadwa nabytki wcale nie obiecują korzystnego wzmocnienia zbyt słabej trupy.

Z zamknięciem sceny zaskoczył nas Wielki tydzień, a z nim posty, samotność, kościół i rozmyślania. Kiedy więc Wielki tydzień pozamykał teatra i domy zabaw, muzyka, która w każdem położeniu człowieka, w każdem usposobieniu jego potrafi przemówić i poruszyć serce, przeniosła się niemal wyłącznie do Świątyni Pańskiej, aby bolejąc razem z Chrześcianinem przy grobie Zbawcy jego, napełnila duszę rzewnym smutkiem i głęboką wdzięcznością, To też i u nas Wielki tydzień sprowadził kilka oratoryów, które wykonano w kościele św. Anny, Najświętszej Maryi Panny, w Katedrze, i u św. Jana.

W południe w Wielki Piątek słyszeliśmy u św, Anny »*Siedm słów*« *Heydena.* a wieczorem tęż samą kompozycyę pod przewodnictwem p. *Germasza* w kościele Maryackim. Tutaj wzięła udział w egzekucyi dzieła tego muzyka miejscowa tudzież artyści opery. Gdyby nie jeden klarnet dobrze fałszywy i gdyby w ogole instrumenta dęte więcej cieniowały siłę tonów, nie moglibyśmy nic zarzucić wykonaniu temu.

W Katedrze odspiewano z towarzyszeniem organów *Miserere Haessera*, tożsamo, które i u was w dniu Wielkopiątkowym wykonywano pod dyrekcyą p. Smaciarzyńskiego. U was zapewne egzekucya tej kompozycyi szczęśliwiej wypadła, niżeli ta o której mówię. Dwa bowiem soprany z których jeden tylko dobry, a drugi już zużyty, dwa alty chłopców przechodzące już w tenory, kilka tenorów nieszczególnych i bassy słabiuchne, nie mogły stworzyć tej równowagi w harmonii, która w dziełach na same głosy napisanych, szczególniej jest potrzebną. Główną wadą było także i to. że całą kompozycyą odśpiewano jedną siłą głosu bez żadnych osłabień lub wzmocnień, i wszystko w takie niepotrzebnie przyśpieszonym tak, jak gdyby szło o rzemieślnicze wykonanie obowiązku w miarę uiszczanej zapłaty.

Nierównie lepiej egzekwowane toż samo oratorium, słyszeliśmy w małym kościółku św. Jana, gdzie z towarzyszeniem fisharmoniki amatorowie pod kierunkiem p. *Germasza* oddali je z całą dokładnością i sumienną precyzyą. Dwa dźwięczne i miłe soprany panien *Maryi M.* i *Filomeny K.*, tudzież pełny i okrągły alt panny *Julii S.* stanowiły główną ozdobę wykonania tego utworu muzykalnego, a to obok innych głosów stosownie skómpletowanych, mianowicie: tenorowego pana *J. Fr.* tudzież bassów (między temi głównie p. *Hier. C.*) których ton nizki i męzki podpierał wyraziście budowę całej tej kompozycyi.

Toż samo towarzystwo lubowników muzyki zgromadziło w r. z. mnóstwo pobożnych do kościoła XX. Franciszkanów, a jeżeli wtedy zachwyciło nas umiejętne wykonanie *Stabat mater*, *Rossiniego*, to

niezawodnie wykonanie *Miserere Haessera*, nastręczyło nam sposobność do oddania amatorom tej pochwały, że i trudniejsza kompozycya, w której wykonaniu dostrzegliśmy tyle wzajemnego porozumienia się i cieniowania, została oddaną z dokładnością zupełną, i effektem całkowitym.

Szkoda, że nie częściej nadarza nam się sposobność słyszenia, zapewne nieraz przez toż samo liczne towarzystwo, wykonywanych tylko dla siebie dzieł muzycznych; szkoda, że choc ciągle słyszymy o lekcyach śpiewu i muzyki u nas w Krakowie, nikt więcej z lubowników, zachęcony szlachetnym przyładem nie występuje publicznie, choćby przynajmniej w przybytku na chwałę Bożą poświęconym.

* Do wspomnianych już dawniej artystów, którzy w tym roku nie angażowani są dla sceny polskiej, dodać jeszcze należy pannę Targowską i pana Natorskiego.

Przyjechali od dnia 10. do 11. Kwietnia do Lwowa:

P. Kraiński Edmund, z Glińska.

PP. Manasterski Józef, z Batiatycz. Rychalski Felix, z Derewlan. Czajkowski Michał, z Kamionki. Dobrzański Felix, z Artassowa. Poniński Kalixt Xiąże, z Krakowca. Jazwiński Alexander z Bortnik. Parys Adam hr. z Żornisk. Pohorecki Kajetan z Horpinu.

Wyjechali od dnia 9. do 11. Kwietnia ze Lwowa:

P. Rodakowski Wiktor do Brzeżan.

PP. Serwatowski Adalbert do Rejtarowic. Breuer Józef do Suchowoli. Kraiński Edward do Leszczowatego. Dobrzyński Franciszek do Bogdanówki. Krajewski Nikazy do Turzego. Wojakowski Kornel do Lipnicy górnej. Korytowski Erazm do Płotycza. Starzyński Leopold hr. do Ditkowiec.

Kurs telegrafowany z Wiednia 11. b. m. o g. 2 popołud.

Augsburg za 100 złr. .	$125\frac{1}{8}$	Pożyczka 5% $82\frac{3}{16}$ $4\frac{1}{2}$	71
Hamburg za 100 tal. banco	92	Akcye banku	1004
Londyn za 1 funt szterl.,	12 12	Kolej północna	1975
Medyolan za 300 lirów	$124\frac{1}{2}$	Obl. ind.	75
Paryż za 300 franków .	$146\frac{1}{8}$	Nowa pożyczka z loteryą	$103\frac{3}{4}$
Agio duk. ces.	$29\frac{1}{4}$	Pożyczka narodowa . .	$86\frac{15}{16}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

		Gotówką				towarem			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	45	złr.	5	kr.	48
Dukat cesarski	«	5	»	51	»	5	«	54
Półimperyał zł. rosyjski	«	10	«	4	»	10	«	7
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	57	«	1	»	58
Talar pruski	»	1	«	52	»	1	«	54
Polski kurant i pięciozłotówka . . .	»	1	«	24	»	1	«	25
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	93	«	48	»	94	«	10
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		74	»	—	»	74	»	20
5 proc. pożyczka narodowa		86	»	25	»	87	«	10

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**